

Wspomnienia z mojego wyjazdu do USA po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 r. Stanu Wojennego w Polsce

W dowód ogromnego szacunku i podziwu dla Cioci Marysi Lempickiej która zaimponowała mam swoją wiedzą o rodzinie, dociekliwością i wytrwałością w osiągnięciu celu i która zmobilizowała do współpracy nad swoim dziełem wiele osób, również i nas.

Wspomnienie to piszę z inicjatywy mojego męża Andrzeja Tuziaka na prośbę Cioci Marysi która kontynuuje opisywanie rodzinnych dziejów. Sugerowała aby członkowie rodziny napisali coś o swoich przodkach lub o sobie, o swoich przygodach, przeżyciach. Coś wesołego, ciekawego, inspirującego. Nie wiem czy sprostim Jej oczekiwaniu, ale opiszę coś o czym po 35 latach jest mi trudno wierzyć że się wydarzyło.

Był rok 1981 niezwykle trudny a zarazem ciekawy i szczęśliwy. Trudny z powodu ogólnej sytuacji w kraju jak również z powodu śmierci moich rodziców. Ciekawy i szczęśliwy dlatego co się wydarzyło.

W czerwcu 1981 r. wyjechała do Stanów Zjednoczonych moja teściowa Adela Tuziak (z d. Treutler) aby odwiedzić swoje siostry i zaopiekować się bratem Romanem Treutlerem który był w okresie rekonwalescencji po zawale serca.



Rodzina Romana Treutlera w 1981 r,

od lewej: Harold Mac Phee (wnuk), Nanette Mac Phee (córka), Donna Mac Phee (wnuczka), Roman Treutler, Tammi Treutler (wnuczka), Alex Treutler (syn), Kristi Treutler (wnuczka)

Nie wiem jak to się stało, ale wuj Roman przysłał nam zaproszenie do siebie. Z uwagi na moją mamę która ogromnie przeżyła śmierć mojego taty w maju 1981 r., postanowiliśmy że Andrzej pojedzie sam. Stało się to faktem w sierpniu 1981 r.. W tym samym miesiącu wróciła do kraju moja teściowa.



Trzy siostry Treutlerówny - Lucyna Trevis, Adela Tuziak, Sylwia Kozal



Pożegnanie Adeli Tuziak w sierpniu 1981 r.

– od lewej Diana Trevis, tyłem Lucyna Trevis, Nanette MacPhee, Adela Tuziak, Sylwia Kozal, Roman Treutler, Janina Barwińska, Darlene Treutler (synowa Romana)

Teściowa namówiła mnie abym zdecydowała się na wyjazd do USA do mojego męża Andrzeja. Mama również popierała ten pomysł. To miały być tylko krótkie wakacje.

Bez żadnej nadziei na załatwienie formalności, złożyłam wnioski o wydanie paszportu. W październiku 1981r. zmarła moja mama. Gdyby nie rodzina i przyjaciele z pracy szybko nie podniosłabym się z tej tragedii. W listopadzie dowiedziałam się że mam do odebrania paszport. Po odebraniu paszportu zaczęłam załatwiać formalności związane z wizą do USA.

Oj nie było łatwo. Trzeba było zgromadzić wiele dokumentów – zaświadczenie o zarobkach, z banku o posiadanych środkach na podróż i pobyt za granicą, opinia z zakładu pracy, zaświadczenie że zostanie mi udzielony urlop wypoczynkowy. Poza tym jeszcze inne zaświadczenia o których już nie wspomnę. Pod koniec listopada lub na początku grudnia 1981 r. dostałam termin do konsulatu USA. Był dość krótki ponieważ moja koleżanka zrezygnowała z wyjazdu do Stanów Zjednoczonych Ameryki z powodu choroby matki i oddała mi swój termin. Urzędniczka w konsulacie wyraziła na to zgodę.

Od wczesnego rana przed konsulatem przy ul. Stolarskiej w Krakowie kłębił się tłum ludzi chcących załatwić wizę. Po kilka osób wchodziło i po krótszej czy dłuższej chwili przeważnie wychodzili z tak zwanym „kwitkiem”. Moja niewiara w powodzenie wzrastała z godziny na godzinę. Wreszcie nadeszła moja kolej. Zziębnięta, zmęczona i zestresowana stanęłam przed okienkiem do którego mnie poproszono. Po zadaniu kilku pytań dlaczego chcę wyjechać, na jak długo i u kogo i z kim będę przebywać, co chcę tam robić – otrzymałam wizę. Dostałam tą wizę chyba dlatego że moja teściowa która urodziła się w Detroit posiadała obywatelstwo USA. Byłam tak zaskoczona, że po wyjściu z konsulatu nie potrafiłam się cieszyć. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie że trzeba kupić bilet lotniczy. W LOT-cie nie było już wolnych miejsc więc poszłam do Biura PAN AM-u i dostałam bilet na 20-go grudnia – wylot z Warszawy. Byłam niewiarygodnie szczęśliwa że wreszcie zobaczę Andrzeja. Nie dzwoniłam do niego ponieważ na połączenie telefoniczne trzeba było czekać kilka dni. Napisałam list i miałam nadzieję że dojdzie na czas. Zaczęłam przygotowania do wyjazdu. Zrobiłam listę co trzeba załatwić bo zakupów w tym okresie się nie robiło. Po prostu sklepy były puste. Jedzenie na kartki inne rzeczy na bony lub talony albo po znajomości. Kolegów z pracy zaprosiłam na skromną kolację pożegnalną na 13 grudnia.

Niestety w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. (niedziela) został wprowadzony stan wojenny w Polsce.

Byłam przekonana że nikt nie przyjdzie. Okazało się jednak że wszyscy stawili się w komplecie. Było smutno bo byliśmy pewni że z mojego wyjazdu „nici”. Goście wyszli wcześniej bo musieli zdążyć przed godziną milicyjną.

W poniedziałek 14 grudnia rozpoczął się nowy tydzień lecz już w innych realiach. Dowiedziałam się że osoby posiadające paszporty muszą je bezzwłocznie oddać. Ponieważ pracowałam blisko biura paszportowego postanowiłam na chwilę zwolnić się z pracy i dopełnić tej formalności. Poszłam do koleżanki aby zgłosić swoje wyjście. Zastałam w Jej pokoju kilka osób a wśród nich Jej męża Włodka Rydzewskiego (profesora UJ). Do dziś pamiętam jak stał wsparty o Jej ogromne biurko. Powiedziałam co chcę załatwić a On zapytał, ale dlaczego chcesz oddać paszport? Przecież jest twój. Powinnaś napisać podanie o wydanie zezwolenia na wyjazd. Masz załatwione wszystkie formalności i bilet na samolot. Zdębiałam, co On do mnie mówi? Przecież oni mi odmówią. A On odparł – no to co? Muszą Ci podać jakiś powód.

Spodobał mi się ten tok myślenia. Napisałam prośbę o zezwolenie na wyjazd. Uzasadniałam ją chęcią spędzenia Świąt Bożego Narodzenia z mężem ponieważ po śmierci moich rodziców znalazłam się w szczególnej sytuacji. Ubrałam się ciepło bo zima była mroźna, śniegu sporo nasypało i poszłam. Przed głównymi drzwiami do Komendy Milicji kłębił się tłum ludzi. Ponieważ nie jestem przebojowa stanęłam na szarym końcu. Okazało się że nie można wejść do budynku. Uchylały się tylko drzwi. Żołnierz zabierał 10 paszportów, zamykano drzwi a po dłuższej chwili uchylały się, oddawano 10 dowodów osobistych i zabierano 10 nowych paszportów. Ta zabawa trwała dość długo aż przyszła kolej na ostatnich oczekujących.

Przy drzwiach na zewnątrz stał postawny mężczyzna, gdy uchyliły się drzwi on je raptownie otworzył i wszedł do środka. Za nim weszła reszta osób i ja również. Zrobiło się zamieszanie. Ktoś krzychał że nie wolno wchodzić. Mężczyzna głośno powiedział że jest człowiekiem i nie pozwoli traktować się jak zwierzę i nie będzie załatwiał swoich spraw za progiem. Ktoś zamknął drzwi. Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam żołnierzy z karabinami którzy stali na schodach i korytarzach. Właściwie wszyscy stali i nikt nie miał pojęcia co dalej. W pewnym momencie do grupy petentów podszedł mężczyzna ubrany po cywilnemu i zapytał o co chodzi. Gdy się dowiedział, poprosił aby poczekać. Po chwili przyszło kilku cywilnych urzędników i podeszli do każdego z nas. Do mnie podszedł młody mężczyzna. Powiedziałam że chcę wyjechać za granicę i muszę sprawdzić czy mój paszport nadal jest ważny. Wręczyłam mu pismo uzasadniające moją prośbę. Przeczytał uważnie i powiedział że to chyba nie jest możliwe do załatwienia. Prosił abym poczekała i zniknął w jednym z gabinetów. Dosłownie po krótkiej chwili wybiegł z niego i powiedział do mnie głośnym szeptem – proszę zobaczyć co napisał ! Wyraził zgodę ! Wręczył mi nowy druk wniosku o wydanie paszportu. Zaczęłam go wypełniać, ale tak mi się ręce trzęsły, że ten młody człowiek wypełniał za mnie rubryczki a ja tylko odpowiadałam na Jego pytania. Po podpisaniu druku na kolanie ruszyłam za mężczyzną korytarzem. Prawie biegłam. Weszliśmy do jakiegoś gabinetu. Przy biurku siedział urzędnik. Mój opiekun zrelacjonował sprawę. Podał dokumenty i paszport. Urzędnik obejrzał dokumenty, wziął dużą pieczętkę i wałnął nią w paszporcie. Następnie wziął inną pieczętkę i wałnął drugi raz w paszporcie. Po-podpisaniu co było trzeba, kazał mi pokwitować i oddał paszport. Zapytałam czy to wszystko ? Czy mogę wyjechać ? Odparł że mogę ale muszę załatwić przepustkę na wyjazd do Warszawy. Podziękowałam i wyszłam.

Wróciłam do pracy i nikt mi nie wierzył że załatwiłam sprawę. Obejrzeliby paszport i dopiero wybuchła ogromna radość. Teraz musiałam upewnić się czy moja wiza i bilet lotniczy są ważne i czy uda mi się załatwić przepustkę. Poprosiłam w pracy o urlop i pobiegłam do konsulatu. Na ul. Stolarskiej żadnej kolejki. Do konsulatu drzwi zamknięte. Zastukałam i do środka wpuścił mnie jakiś pan. Wyjaśniłam że pragnę zasięgnąć informacji dotyczącej ważności mojej wizeny. Po chwili przyszedł urzędnik i poinformował mnie że wiza jest ważna ale mój paszport nie. Powiedziałam że mam nowy wpis w paszporcie który załatwiłam parę chwil temu. Mężczyzna powiedział że to niemożliwe. Pokazałam paszport a on ze zdziwieniem popatrzył i zawołał swoich współpracowników. Wszyscy spoglądali na mój paszport, kręcili głowami. Któryś z urzędników zauważył że zmienił się naczelnik w urzędzie paszportowym.

Szczęśliwa wybiegłam z konsulatu i poszłam do biura PAN AM-u. Po wyłuszczeniu sprawy znowu ogromne zdziwienie. Pani poinformowała mnie że w tym okresie żadne samoloty nie wylatywały z Warszawy. Nie wiadomo kiedy i gdzie polecą, więc zmieniła mój bilet na tak zwany otwarty. Poinformowała mnie że jeśli będzie jakiś samolot wylatywał z Warszawy to mam lecieć dokądkolwiek . Na innym lotnisku mam się zgłosić do PAN AM i pokazać ten bilet. Oni dalej mnie pokierują. Nie mogłam w to uwierzyć. Nic nie kazali dopłacić i życzyli szczęśliwej podróży.

Zgodnie z „*paragrafem 2 Rozporządzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 13 grudnia 1981 r. w sprawie zezwoleń na zmianę miejsca pobytu w czasie obowiązywania Stanu Wojennego oraz zasad i trybu postępowania w tych sprawach (Dz. u. Nr 14 poz. 85)*” - cytata z dokumentu, musiałam się zgłosić do Urzędu Dzielnicy aby uzyskać stosowne zezwolenie na zmianę miejsca pobytu z Krakowa do Warszawy na ściśle określony czas. Wspomnę tylko że ilość osób załatwiających zezwolenia była nie do ogarnięcia.

Wyszłam z Urzędu z upragnionym dokumentem późnym wieczorem. Poszłam na dworzec kolejowy kupić bilet wraz z miejscówką na 19 grudnia godz. 18.22 (bilet i miejscówkę przechowuję do dnia dzisiejszego).

Wracając do domu spotkałam sąsiada dr. Tadeusza Karakulskiego. Opowiedziałam mu swoją historię a on zaproponował że jutro podwiezie mnie samochodem na dworzec. Byłam szczęśliwa bo w tamtym okresie z taksówkami też było krucho.

Nazajutrz dość wcześnie aby zdążyć na pociąg, po zapakowaniu ogromnej walizy pojechaliśmy na dworzec. Bogu dziękowałam że wyjechaliśmy tak wcześnie, bo do dworca nie dojechaliśmy. Napadało tak dużo śniegu że służby drogowe nie zdążyły go odgarnąć. Brnęliśmy z sąsiadem po kolana w śnieżnym puchu i taszczyliśmy tą ogromną walizę. Dotarliśmy na peron, sąsiad chciał mi pomóc przy wsiadaniu do pociągu, ale czekając na jego przyjazd po około godzinie poddał się i wrócił do domu.

Spóźnienie pociągu wydłużało się. Nie było żadnej informacji. Peron stawał się coraz bardziej pusty. Część pasażerów przekonana że pociąg nie przyjedzie, rezygnowała i wracała do domów. Spora grupa ludzi zeszła do podziemnego przejścia pod peronami aby się trochę ogrzać, ponieważ na peronie robiło się coraz zimniej. Ja stałam i czekałam. Nie dopuszczałam do siebie myśli że nie uda mi się dotrzeć do Warszawy. Wreszcie po ponad trzech godzinach spóźnienia bez żadnej zapowiedzi powoli wjechał na peron upragniony pociąg. Z wagonu wysiedli żołnierze, zapytałam jednego z nich czy ten pociąg jedzie na pewno do Warszawy. Odpowiedział że tak i wstawił moją walizę do wagonu. W wagonach było bardzo mało pasażerów. Wkrótce bez żadnej zapowiedzi pociąg ruszył. Żałowałam ludzi którzy zeszli do podziemnego przejścia pod peronami, ponieważ nie mieli żadnej informacji że pociąg przyjechał i mogli do niego wsiąść.

W Warszawie byliśmy o 6.00 rano 20 grudnia. Z wielkim trudem wytaszczyłam walizę przed dworzec. Było pusto, ciemno, zimno a śnieg odgarnięty tylko jako wąskie ścieżki. Dotarłam do jedynej taksówki na postoju i poprosiłam o kurs na lotnisko. Pan taksówkarz zapytał po co tam chcę jechać, po pierwsze samoloty nie latają a po drugie nie przejeździemy przez miasto bo trzeba mieć zezwolenie. Uparłam się że chcę spróbować więc załadowaliśmy walizę do bagażnika i w drogę. Daleko nie dojechaliśmy bo na najbliższym skrzyżowaniu stał punkt kontrolny.

W kosiaku paliło się, a wokół niego rozgrzewali się żołnierze. Oczywiście zatrzymali nas, wylegitymowali taksówkarza, sprawdzili bagaż i moje dokumenty. Ponieważ wszystko było w porządku pozwolili jechać dalej. Ta sytuacja powtarzała się na każdym większym skrzyżowaniu (na niektórych skrzyżowaniach stały też czołgi).

Gdy już widać było budynek portu lotniczego, dowódca kolejnego punktu kontrolnego nie zezwolił jechać dalej samochodem. Poleciał by resztę drogi iść pieszo. Poprosiłam go czy któryś z żołnierzy mógłby mi pomóc z bagażem. Po chwili namysłu zdecydował że taksówka może mnie dowieźć na miejsce ale natychmiast ma wracać. Po drodze Pan taksówkarz zapytał nieśmiało gdzie trzeba mieć znajomości żeby mieć takie dokumenty. Odpowiedziałam że to nie znajomości lecz że to po prostu szczęście - ale chyba nie uwierzył.

Na lotnisku oddałam walizę do przechowalni bagażu ponieważ dowiedziałam się że dzisiaj żaden samolot nie polecie – może jutro. Do miasta wróciłam autobusem i trafiłam do hotelu „Metropol”.

W recepcji poinformowano mnie że są wolne pokoje, ale moja przepustka jest już nieaktualna i muszę iść do Urzędu Dzielnicowego po przedłużenie. W Urzędzie po długim oczekiwaniu dostałam przedłużenie na jeden dzień więc mogłam się zameldować w hotelu. Potem w biurze PAN-AM dowiedziałam się że mogę wylecieć 21 grudnia do Frankfurtu.

Na lotnisku do odprawy stała ogromna kolejka. Stałam i patrzyłam jak ludzie podchodzą do odprawy paszportowej i w większości zostają poinformowani o nieważności ich paszportów. Niektórzy głośno protestowali inni odchodzili zrezygnowani a niektórzy płakali. Tyle rozpaczy nie widziałam dotąd w swoim życiu.

Wreszcie przysłała moja pora, po sprawdzeniu wszystkich dokumentów pan siedzący w budce przybił pieczętki, oddał dokument i życzył szczęśliwego lotu. Celnicy nie byli zainteresowani moim bagażem tylko nieśmiało zapytali jak udało mi się załatwić paszport. Odpowiedziałam że zmarli moi rodzice i jadę spędzić święta z mężem i rodziną. Przekazali wyrazy współczucia i życzyli szczęśliwego lotu.

Po wylądowaniu we Frankfurcie przeżyłam szok, przy wyjściu dla pasażerów czekała duża

grupa dziennikarzy i telewizja – był to pierwszy samolot który wyleciał z Warszawy po ogłoszeniu stanu wojennego. Chcieli się dowiedzieć jak najwięcej co działo się w Polsce. Udało mi się ominąć tłum i zatrzymałam się z dala od tego zgielku. Wiedziałam jedno - muszę gdzieś odebrać mój bagaż i co dalej z lotem do USA. Stałam bezradnie rozglądając się na wszystkie strony. Stojące obok mnie dwie panie (jedna z małą córeczką) zapytałam czy mówią po polsku, okazało się że tak i przyleciały tym samym samolotem. Rozmawiałyśmy ze sobą, porównując lotnisko na Okęciu i to we Frankfurcie. Z oszołomienia wyrwał nas męski głos. Pan który do nas podszedł był Polakiem, mieszkał w Krakowie i jechał na Bliski Wschód kopać studnie głębinowe. Pomógł nam w odnalezieniu naszych bagaży i w sprawach biletowych na dalszy lot a ponieważ wszyscy mieliśmy odloty w dniu następnym, zaproponował nocleg w hotelu w którym miał zarezerwowany pokój.

Zgodziłyśmy się na tę propozycję i stwierdziłyśmy że pokryjemy część kosztów. Do hotelu „Sheraton” szliśmy przewiązką nad ulicą wyglądającą jak autostrada. W hotelu dech mi zapało i zrozumiałam że nie stać mnie na ten hotel. W recepcji wszystko zostało załatwione, nasz wybawca rozmawiał po niemiecku i niczego nie rozumiałam. Pokój był bardzo duży wyglądał niezwykle elegancko a łazienka jak marzenie. Po szybkim odświeżeniu zostałyśmy zaproszone na kolację. Mama z córeczką zostały w pokoju bo dziecina padła ze zmęczenia.

W trójkę poszliśmy do restauracji – takiego steku z pieczonymi ziemniakami nigdy nie zapomnę. Na deser ciasto czekoladowe dopełniło uczyty dla podniebienia. Dla mamy z córeczką dostaliśmy kolację na wynos.

W dniu następnym, wczesnym rankiem udaliśmy się na lotnisko. Nasz opiekun odlot miał jako pierwszy, ale wcześniej każdą z nas odprowadził do miejsca odprawy. Przy pożegnaniu Pan stwierdził że nie ma mowy o współpłaceniu za hotel, bo miał rezerwację pokoju i tak by musiał za niego zapłacić - powiedział że jako rodacy musimy sobie pomagać w trudnych chwilach. Dostałam wizytówkę na wypadek gdyby mógł jeszcze w czymś pomóc. Pamiętam że wystaliśmy potem do niego kartkę z serdecznym podziękowaniem, ale nie wiem czy doszła.

Po przylocie do Nowego Jorku byłam tak zmęczona że ogrom lotniska J.F. Kennedy'ego nie miał szans zrobić na mnie wrażenia. Poszłam za potokiem pasażerów i udało mi się stanąć w dobrej kolejce do odprawy paszportowej. Po sprawdzeniu dokumentów i odpowiedzi na pytania że nie mam kiełbasy i suszonych grzybów – mogłam iść dalej. Teraz stanęłam przed nowym wyzwaniem gdzie mam iść aby polecieć do Detroit. W informacji poinformowano mnie że muszę oddać bagaż w dalszą drogę. Podeszłam do kontuaru i ciemnoskóremu pracownikowi pokazałam bilet. Zapytał po angielsku czy wolę rozmawiać po rosyjsku czy angielsku. Moje zdumienie było ogromne – oczywiście wybrałam język rosyjski bo moja znajomość angielskiego była bardzo słaba.

Odlecieliśmy do Detroit z godzinnym opóźnieniem (około 17.00) bo rozszalała się burza. W samolocie siedziałam obok żołnierza amerykańskiego który stacjonował w RFN i leciał do domu na urlop. Jak zobaczył że nie jestem w stanie zjeść zimnego hamburgera z zestawu posiłku (wtedy nie miałam pojęcia że miękka buła i niedosmażony sznycel to słynny hamburger) to sam go spałaszował a ja zjadłam jego ciastko.

Siedziałam w tym samolocie i zastanawiałam się ile godzin jestem już w podróży który to dzień miesiąca i którą godzinę mamy w Polsce. Tutaj zbliżał się wieczór. Po wylądowaniu w Detroit stanęłam przed nowym wyzwaniem - nikt nie wiedział że udało mi się wydostać z Polski i dolecieć do Detroit. Musiałam więc dodzwonić się do Wujka Romana Treutlera gdzie mieszkał Andrzej, aby mnie stąd zabrali. Podchodzę do telefonu – pieniądze mam, numer mam ale jak to cholerstwo się obsługuje? Stoję i patrzę i nie mam pojęcia ile wrzucić pieniędzy, zebrałam się więc na odwagę i przypadkową osobę poprosiłam o pomoc. Czekałam aż wujek odbierze telefon – i nic. Wykręcam ponownie i nikt nie odbiera. Wreszcie uzmysłowiłam sobie że mam też telefon do Cioci Lucyny Trevis (z d. Treutler). Miałam szczęście i Ciocia powiedziała że będzie dzwonić do Wujka Romana aż do skutku. Szczęśliwa zabrałam walizę i poszłam do poczekalni. Po dość długim oczekiwaniu zobaczyłam przez

szybę przygarbioną ogromną postać wujka a obok mojego męża. Idę w ich stronę macham ręką na powitanie, Wujek uśmiecha się do mnie a mój małżonek przechodzi obok mnie i kogoś szuka. Zawołałam go po imieniu i widzę na jego twarzy ogromne zaskoczenie. Okazało się że telefon od Cioci odebrał Wujek i zrobił Andrzejowi psikusa mówiąc że jadą na lotnisko bo przyleciał jego syn Alex. Wujek był niezwykle rozbawiany że udało mu się nabrać Andrzeja. Radość z mojego przyjazdu była ogromna a ja byłam zdziwiona że sobie poradziłam. W ten to przedziwny sposób udało mi się zdążyć na rodzinną Wigilię, która odbyła się w domu Cioci Lucyny starszej siostry mojej teściowej.



Wigilia 1981 r. w domu Cioci Lucyny

Od lewej Mieczysław Trevis, Diane Painter (córka cioci Lucyny), mąż Diane, Lucyna Trevis, Roman Treutler Ewa Tuziak, Andrzej Tuziak, Roger Trevis (syn cioci Lucyny).

Po śmierci Wuja Romana Treutlera 30.09.1982 r zdecydowaliśmy się na powrót do Polski. Wróciliśmy rejsem statku TS/STEFAN BATORY z Montrealu do Gdyni 14 czerwca 1983 r. ze zwiedzaniem Londynu.



W Londynie czerwiec 1983 r.

Stan wojenny w Polsce został zniesiony 22 lipca 1983 r.

Ewa i Andrzej Tuziakowie